



WROGOWIE

ALL INCLUSIVE

Kłopoty w raju? To dopiero początek.

R.S. GREY



R.S. GREY



WROGOWIE

ALL INCLUSIVE

Przełożyła
Małgorzata Bortnowska



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Their Last Resort

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska

Wydawczyni: Ewelina Czajkowska

Redakcja: Dagmara Deska

Korekta: Małgorzata Denys

Projekt okładki: Wojciech Bryda

Zdjęcie na okładce: © ValentinValkov; © halayalex / Stock.Adobe.com

Wyklejka: © Victoria / Stock.Adobe.com

DTP: pagegraph.pl

Copyright © 2024. THEIR LAST RESORT by R.S. Grey

The moral rights of the author have been asserted

Copyright © 2026 for the Polish edition by Niegzeczne Książki
an imprint of Wydawnictwo Kobieta Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Bortnowska, 2026

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2026

ISBN 978-83-8417-681-8

Grupa Wydawnictwo Kobieta | www.WydawnictwoKobieta.pl



Bliss

ROZDZIAŁ 1



Paige

Kocham moją pracę. Kocham moją pracę. Kocham moją pracę.

Muszę tylko powtarzać to jak mantrę.

Mam przecież wiele powodów, żeby lubić ten kurort. Siesta Playa słynie z krystalicznie czystej wody, białych, piaszczystych plaż, luksusowych pokoi oraz... skrajnie rozpuszczonych turystów, przekonanych, że zgromadzone przez rok punkty lojalnościowe na karcie kredytowej upoważniają ich do wręcz królewskiego traktowania.

Wpatruję się teraz w jedną z takich turystek, która bez końca trąkocze o tym, jak rujnuje jej wakacje, oraz, co za tym idzie, jej życie. Stoi po drugiej stronie biurka, plując jadem. Jest tak rozwścieczona, że zaraz pękną jej żyłki na czole. Ten nastrój jaskrawo kontrastuje z jej hawajską sukienką oraz kiczowatymi kolczykami z muszli. Na okularach, zatkniętych na głowie, połyskuje wakacyjny slogan: „Wyspiarski luz!”.

Teraz rozumiem, dlaczego jej mąż kuli się za nią na drżących nogach, próbując odnaleźć w sobie odwagę, którą ona już dawno temu w nim zdusiła.

Proszę, niech pan mrugnie trzy razy, jeśli potrzebuje pan pomocy.

– Pani Daugherty, bardzo mi przykro.

Tak dla jasności, to już moje czwarte przeprosiny, ale zostają zignorowane jak trzy poprzednie.

– Pani jest przykro? I co mi po tym? Przyleciałam tu aż z Miami!

To mniej więcej dwugodzinna podróż, licząc od jednego pasa startowego do drugiego. Tymczasem ona tak to podkreśla, że można by pomyśleć, że przywędrowała tu pieszo z plecakiem wprost z tybetańskiego szczytu.

– Jesteśmy wdzięczni, że przebyła pani taką drogę. I rozumiem pani zdenerwowanie.

Nie, wcale nie. Nie rozumiem.

– Przepraszam jeszcze raz, w imieniu całego zespołu hotelowego.

Tak naprawdę wszyscy chcielibyśmy zakazać ci wstępu do tego miejsca.

– I oczywiście chętnie zaoferujemy państwu vouchery na inne wycieczki. A może woleliby państwo skorzystać z prywatnej kolacji na plaży? Oczywiście na koszt hotelu.

Takie ustępstwa – pogodzenie się z sytuacją – to jedna z zasad hotelu. Dać tym rozpuszczonym socjopatom, czego chcą, by rozładować atmosferę, zanim inni goście – ci niegdyś kochani przez rodziców – coś zauważą. Nie cierpię tego.

Niežnośna turystka postukuje tłustym palcem wskazującym o biurko niczym dzięcioł dziobem o drzewo.

– Kolację na plaży mogę zjeść wszędzie. A ja chcę zobaczyć te cholerne wieloryby! Tak jak mi obiecywano!

Jedną z wycieczek oferowanych w Siesta Playa jest rejs z przewodnikiem poświęcony morskiej faunie, podczas którego turyści mogą zobaczyć delfiny, żarłaczce karaibskie, żółwie morskie, a także, ewentualnie, wieloryby. W szczycie sezonu, czyli od stycznia do początku kwietnia, wieloryby fałdowce płyną przez kanał między wyspami Turks i Caicos i rodzą młode na wysepce Salt Cay. Skoro jednak mamy środek sierpnia... fałdowce są zajęte czym innym gdzieś indziej, pewnie jakimiś wielorybimi sprawami. Daliśmy to jasno do zrozumienia naszym gościom, którym marzyło się zobaczyć te majestatyczne ssa-ki o tej porze roku, w tym pani Daugherty.

– Ja. Chcę. Wielorybów! – żąda znów natrętna turystka, podkreślając każde słowo niczym wyrośnięta wersja rozpieszczonej Veruki Salt z *Charliego i fabryki czekolady*.

Jej mąż, chwilowo rezygnując z prób odejścia w zapomnienie, wtrąca drżącym głosem:

– Beatrice, chyba moglibyśmy...

Jego żona nawet nie drgnie i nadal przygważdża mnie spojrzeniem.

– Nie, Mark. Przestań. To śmieszne! Wie pani co? – Wycelowuje we mnie palce, ledwie o parę centymetrów od mojej twarzy, i grozi mi nimi przed nosem. – Chcę rozmawiać z pani przełożonym. Natychmiast.

Spodziewałam się tego. Odwołanie się do mitycznej władzy to ostatnia metoda wszystkich sfrustrowanych zrzęd. Założyłabym się o ostatni grosz, że na łożu śmierci będzie wzywać Jezusa – nie prosząc o pociechę czy miłosierdzie, ale pragnąc się poskarżyć jego ojcu na kiepską obsługę, jaką miała na ziemi.

Jestem zmuszona wezwać kogoś przez radio, tyle że ten, kto przychodzi, to absolutnie ostatnia osoba, jaką chciałabym teraz widzieć.

Nie muszę się nawet odwracać, by wiedzieć, kto właśnie się za mną pojawił. Jego nadejściu równie dobrze mógłby towarzyszyć motyw z głębokim, złowieszczym dźwiękiem organów. Dum, dum, dummmm.

To stały gość w Mordorze.

Chętnie zapraszany na kolacje u diabła.

Korespondencyjny kumpel Voldemorta.

Cole Clark nie jest ani moim szefem, ani przyjacielem. To wrzód na moim tyłku. Już sama jego obecność podnosi mi poziom adrenaliny we krwi. Zaciskam dłonie w pięści.

– Witam. W czym mógłbym pomóc? – pyta zza mojego ramienia.

Prostuję się, próbując dodać sobie parę centymetrów. Wkurza mnie, że Cole góruje nade mną dzięki swojej postawnej sylwetce.

– Kim pan jest? – W tonie turystki słysząc już nieco mniej protekcyjności. Tak się dzieje z kobietami w obecności Cole'a. Łagodnieją, omdlewają, mięknią im kolana. Nigdy nie mogłam zrozumieć dlaczego.

– Cole Clark, zastępca dyrektora operacyjnego w Siesta Playa.

– Tak, jest tylko zastępcą – podkreślam. – A pani powinna się poskar... to znaczy porozmawiać z Toddem Weaverem. To on tu jest prawdziwym szefem.

Pani Daugherty nie raczy mnie posłuchać czy nawet na mnie spojrzeć. Zapomniała o moim istnieniu. Wpatruje się w Cole'a z rozmarzeniem w oczach. Napięte tętnice na czole się wygładziły i pompują swoją bogatą w cholesterol zawartość do zakamarków szybciej bijącego serca. Gdyby mogła, wepchnęłaby swojego potulnego męża głową naprzód do jakiegoś czynnego wulkanu. Tak bardzo pragnie Cole'a. Fuj.

Widząc, że moja rola tutaj – w tym codziennym teatryku, jakim jest obsługa klienta – dobiegła, na szczęście, końca, już mam zamiar odsunąć się na bok i szybko czmychnąć, ale wtedy Cole zaciska mi dłoń na ramieniu, przytrzymując mnie w miejscu. Całkiem jakby chciał powiedzieć: „Nie tak szybko”. W odpowiedzi następuję obcasem na czubek jego oksfordów w rozmiarze czterdzieści sześć. Puszczaj, dupku!

Co też niezwłocznie czyni.

Muszę tam stać i wysłuchiwać od nowa skarg pani Daugherty. Wskazuje palcem na mnie.

– Ta... ta dziewczyna obiecała mojemu mężowi i mnie, że spędzimy cudowne chwile na morzu, ale ze smutkiem donoszę, że tak się nie stało. W najmniejszym stopniu. Ta tutaj...

– Pani Young – podpowiada Cole.

– Pani Young zabrała nas na morze na całe popołudnie i nic nie zobaczyliśmy. Parę marnych płaszczyk? Pieprzony delfin? Też mi coś. Kiedy usłyszysz o tym mój kuzyn, pracownik biura podróży...

Cole zachowuje spokój podczas całej tej wściekłej przemowy o kuzynie, gróźb o jadowitej recenzji na Tripadvisorze, a nawet chaotycznej tyrady o tym, jak to córka pani Daugherty ma sporo fanów na TickClocku.

Dziesięć minut później pani Daugherty odchodzi – z okazałym stosikiem kuponów na drinki w rękę – wykrzykując rozkazy do swojego męża pantoflarza, żeby się pośpieszył. Jej reklamacje wobec mnie zostały oficjalnie rozpatrzone.

Powinnam się odwrócić i podziękować Cole’owi, ale jeśli mam być szczerą, wołałabym raczej pójść sączyć koktajle mai tai z państwem Daugherty.

Chciałabym, żeby zniknął w kłębach dymu lub chmurze nietoperzy i na tym zakończył, ale nie, nie może się oprzeć.

– Szczerze mówiąc, jestem zaskoczony, że skarżyła się tylko na brak wielorybów – zaczyna, a ja od razu się spinam. – Biorąc pod uwagę, że to była twoja wycieczka, oczekiwałbym raczej, że poleje się krew.

Odwracam się, przesadnie powoli, i rzucam mu miazdzące spojrzenie, które mówi: „Jesteś pyłkiem. Niczym”.

Niestety wiem, o co mu chodzi, gdy wspomina o krwi. Jako pracownica działu rozrywki i obsługi gości mam

za zadanie prowadzić wycieczki i zajęcia dla gości szukających przygód. Interesują was surfowanie, żagle albo wędrówki, kończące się pod majestatycznymi wodospadami? Jestem do waszych usług. I co z tego, że bardzo rzadko – cóż, aktuariusze naszego ubezpieczenia wspominają o jedenastu i siedmiu dziesiątych procent czasu – moje zwariowane pomysły kończą się łagodnymi lub umiarkowanymi obrażeniami? Statki najbezpieczniejsze są w przystani, ale nie po to się je buduje! Doktor Missick – nasz lekarz hotelowy – mnie nienawidzi, bo zamieniłam jego ciepłą posadkę na emeryturze w pełen etat na pogotowiu. Otarcia od wspinaczki na skałach, sińce i ugryzienia modnych, ale drażliwych kózek, towarzyszących w jodze, i od czasu do czasu oparzenie od cotygodniowych przechadzek po rozżarzonych węglach to tylko początek. Chciałabym jednak zaznaczyć, że równie dużo wypadków w naszym hotelu wydarza się w barze. Ledwie tydzień temu mieliśmy nadzianie się na kebaba oraz oparzenie fontanną czekolady. Chodzi mi o to, że wciąż wzrastająca liczba pacjentów doktora Missicka to nie tylko moja sprawka, dlatego wpienia mnie, że Cole trzyma w pokoju socjalnym tablicę z wielkim napisem: „Liczba dni od ostatniego wypadku naszego gościa”. Łatwy sposób, żeby mnie dręczyć.

Podczas gdy pani Daugherty narzekała, Cole zapewne uważnie jej się przyjrzał, szukając jakiegoś temblaka czy opatrunku. To cudowne uczucie, że przynajmniej tym razem spowodowałam u gościa wyłącznie traumę emocjonalną, a nie obrażenia fizyczne, i nie dałam Cole’owi

tej satysfakcji, by mógł zamienić na tej swojej śmiesznej tablicy wynik jednocyfrowy na dwucyfrowy.

Splatam ramiona i unoszę podbródek, spoglądając mu w oczy z całą odwagą, na jaką mnie stać.

– Żeby było jasne – to nie była moja вина.

Unosi żartobliwie ciemną brew.

– Tak, oczywiście.

– Wyłączyłam się w trakcie waszej rozmowy. Powiedziałeś jej, że zatrudniłeś wieloryby na kontrakt, żeby pociągnąć je do odpowiedzialności za nieobecność?

Omiał się nie uśmiecha.

– Powiedziałem jej, żeby trzymała się baru. Wyjaśniłem, że twoje wycieczki mogą czasami przysparzać więcej kłopotów, niż są warte.

Mrużę oczy, próbując go przejrzeć.

Jestem pewna, że istnieją jakieś miłe, radosne przymiotniki, którymi można by opisać Cole’a, ale nie mam zamiaru rozważać żadnego z nich. Jego wzrost jest irytujący. Jego oczy w odcieniu głębokiego brązu są za ciemne. Krawat zdecydowanie zbyt schludny. Ja jestem blondynką o rozjaśnionych od słońca włosach, a on to pracoholik i zrzęda. Serio, czy coś by mu się stało, gdyby od czasu do czasu rozwichrzył tę swoją profesjonalnie ułożoną fryzurę?

Jesteśmy na tropikalnej wyspie, a ten facet ma na sobie eleganckie buty. Jego cała szafa składa się z koszul i marynarek. Na luźne wieczorne wyjścia zamiast garnituru zakłada parę nieformalnych ciemnych džinsów. Jego

garderoba warta jest pewnie tyle co moje roczne zarobki. Gdybym kiedykolwiek ujrzała go w T-shircie, umarłabym z szoku.

– Jakim cudem jesteś tak opalony? – spytałam go kiedyś. – Nigdy nie wychodzisz na zewnątrz.

Rzucił mi spojrzenie pełne udawanej podejrzliwości.

– Śledzisz mnie?

– Po prostu znam tę legendę. Gdy tylko wystawisz skórę na słońce... – Naśladuję gestem wybuch. – Puf. Koniec. To spotyka wszystkie stworzenia z, cóż... – Cmoknęłam językiem, wskazując palcem w dół, jakby w głębiny piekła.

Spojrzał na mnie z irytacją, częstym zjawiskiem w naszej relacji, i odparł:

– Moi dziadkowie są z Sycylii.

– Masz dziadków?

To była dla mnie nowość. Teoria, która zyskała najwięcej popularności w pokoju socjalnym, głosi, że Cole egzystuje na naszej wyspie niczym bohater filmu *Joe Black* – czyli jest Śmiercią, która przybrała postać młodego mężczyzny, aby zaznać ziemskiego życia. To wyjaśnia te wyraziste kości policzkowe oraz fakt, że potrafi liczyć z nadludzką szybkością i dokładnością.

A teraz tu stoimy i znów to robimy – rywalizujemy ze sobą na inteligencję.

Na szczęście nie muszę widywać Cole'a codziennie. Moje nerwy by tego nie wytrzymały. W końcu mamy tu całkiem odmienne zadania. Ja przez większość czasu eksploruję wyspę z gośćmi, a on tkwi w hotelu przy biurku,

wykonując skomplikowane obliczenia. Krążą słuchy, że chciałby kiedyś objąć stanowisko dyrektora operacyjnego. Pewnie obmyślił sobie drobiazgowy pięcioletni plan. Jest oznaczony kolorami i oprawiony w skórę. Trzyma go nocą pod swoją twardą poduszką.

A mój plan?

Proste – korzystać z życia na wyspie.

To wszystko.

No dobra, nie wszystko. Chciałabym także spotkać tu miłość, a jeśli to okaże się nieosiągalne, chętnie zaakceptuję też pożądanie. Mam nawet wyznaczony cel. To Blaze, nowy barman w Siesta Playa. Uważam, że to właśnie on jest mężczyzną, którego szukam – zabawny, wyluzowany i wysportowany. I liczę, wbrew wszelkim nadziejom, że dziś przyjdzie na ognisko na plaży, żebym miała szansę z nim dłużej pogadać. Nasze ostatnie przelotne spotkania nie były zbyt obiecujące.

– Och! Też lubisz koktajle owocowe? – spytałam, mijając go niedawno w głównym lobby.

Zmarszczył brwi, kompletnie zdezorientowany.

Wskazałam na koktajl w jego ręku, wypity do połowy.

Nadal nie rozumiał.

– Ach, to? Miałem kupon.

Planowałam rozmowę o zdrowych napojach, nie o kuponach, więc jedyne, co zdołałam wymyślić, to:

– Super, to do potem.

A później jak idiotka wycelowałam w niego palcami niczym z rewolweru.

Następny raz zobaczyłam go, gdy wybrałam się do jednego z miejscowych barów z paroma moimi współpracownikami. Podeszłam do niego i spytałam, przekrzykując głośną muzykę:

– Skąd jesteś, Blaze?!

– Z hotelu.

Zaśmiałam się i ponowiłam pytanie:

– Nie, głuptasie. Skąd pochodzisz?

– Pochodzę z hotelu! – odkrzyknął.

No i spoko, kogo obchodzi, że nie grzeszy inteligencją... Wystarczy mi jej za nas dwoje, prawda? Poza tym widziałam go bez koszulki i jego brzuch z pewnością pomógłby nam ominąć drobne problemy, wynikające z topornych konwersacji.

Ale teraz to nieistotne. Nigdy nie dotrę na ognisko, jeśli nie skończę tej utarczki z Cole'em.

– I na tym kończymy? – pytam, krzyżując ramiona na piersiach, żeby nie zrobić czegoś głupiego, na przykład nie szarpnąć go za krawat. Tak bardzo mnie to kusi.

Cole mierzy mnie wzrokiem od stóp go głów, niewątpliwie uznając moje sandały Teva, sportowe szorty i bezrękawnik Siesta Playa za rażąco nieestosowne. Gdyby to od niego zależało, zmusiłby mnie do noszenia eleganckiego kostiumu, dodałby mały identyfikator i upiąłby mi włosy w ciasny, usztywniony lakierem koczek.

– Czemu tak się spieszysz? Jakies ważne plany?

Spoglądałam na niego sceptycznie.

Wie o ognisku?

Trudno powiedzieć... Nie udaje mi się rozszyfrować jego miny. Jest nieprzenikniona jak forteca. Nie chcę się wygadać i wpędzić kogoś w kłopoty, ale czasami – bardzo rzadko – trochę mi szkoda Cole’a. Gdy nasze spojrzenia się spotykają, rozważam, czy nie wtajemniczyć go w ten sekret – czego pewnie bym pożałowała – ale wtedy on przewraca oczami.

– Wiem o ognisku.

I nagle zacznę się bronić.

– To nie wbrew zasadom czy coś. Théo nie organizuje go na terenie hotelu.

Marszczy brwi.

– Zachowujesz się, jakbyś się bała, że na ciebie doniosę.

Nie jestem do końca pewna, czy rzeczywiście by tego nie zrobił...

To znaczy wcześniej się to nie zdarzało – przynajmniej nic o tym nie wiem – ale Cole jest bardzo zasadniczy. I to dosłownie – przechowuje regulamin hotelu w szufladzie swojego biurka. Dlatego większość ludzi trzyma się od niego z daleka. Boją się, że pobiegnie i naskarży na nas szefostwu, jeśli coś przeszkrobimy.

Ale chodzi też o coś więcej. W Siesta Playa między zarządem a resztą z nas przebiega wyraźna granica. Jest grupka ludzi, którzy tu rządzą: dyrektor generalny, dyrektor operacyjny, dyrektor do spraw żywności i napojów i tak dalej. Widuję te szycy może raz w roku, jeśli dobrze pójdzie. Reszta z nas ma do odegrania o wiele mniej efektowne role: barmani, instruktorzy surfingu, kapitanowie

łodzi, kucharze, ratownicy. Wszyscy mieszkamy w kwaterach dla pracowników na terenie ośrodka. Wyobraźcie sobie maleńki pokój z podwójnym łóżkiem i niewiele więcej. Ale jakoś sobie radzimy. Większość z nas jest daleko od domu, zdana na siebie, i tworzymy eklektyczną zbieraninę: niedawni absolwenci studiów, emeryci, nomadzi, miłośnicy natury. Albo, jak w przypadku Cole'a, nudne typki prosto z sali konferencyjnej, które jarają się arkuszami kalkulacyjnymi i psują ludziom zabawę.

Cole nie należy do żadnej z tych dwóch grup. To całkowicie osobny byt. Jest za młody, żeby wpasować się w grono dyrektorów wyższego szczebla, i mieszka w kwaterach dla pracowników jak reszta z nas. Sprawa jest jednak skomplikowana, bo nie do końca pasuje również do mojego świata. Już sama myśl, że miałby ucinać sobie pogaduszki z Blaze'em albo Théo lub Oscarem, jest śmieszna.

A mimo to...

– Tak mi się wydaje... że gdybyś chciał... – wyduszam z siebie słowa. Więzną mi w gardle. Całkiem jakby ktoś przystawiał mi rewolwer do głowy.

Cole marszczy brwi, jakbym go rozczarowała, a potem kręci głową. Nic nowego.

Zanim zdołam powiedzieć coś jeszcze, odwraca się i odchodzi.